

PIOTR SOWIŃSKI ŁOWCY

LOWCY

PIOTR SOWIŃSKI ŁOWCY



Redakcja:

Monika Ulatowska

Projekt okładki:

Anna Skurska

Skład:

Tomasz Kuc

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2020

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie.

Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-568-7

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms),

gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2020. Wydanie 1

ROZDZIAŁ 1

ŁÓDŹ, LUTY 2002

Luty był ciepły. Wyjątkowo. Jego pierwsze dni przyniosły aurę niemalże wiosenną. Niektórzy ostentacyjnie zdejmowali ciepłe płaszcze i pokazywali zimie, że jej dni są policzone.

Komisarz Kostecki też rozpiął poły kapoty. Kapota była zaskakująco ładna. Kolega, który był księdzem, dał mu cynk, że w punkcie Caritasu na rogu Gdańskiej i Kopernika rozdają palta. Okrycia były nowe, wykonane z solidnego materiału. Dyżurujący ksiądz spojrzał na policjanta podejrzliwie. Trochę kwękał, że to tylko dla potrzebujących, lecz gdy Tadeusz rzucił nazwiskiem kolegi, kapłan zmiękł i przyniósł dużych rozmiarów czarny uniform. Kostecki był zadowolony. Kwotę, którą musiałby przeznaczyć na zakup nowego przyodziewku, wydał na wiadomą substancję. Po wypiciu alkoholowej

mikstury Tadeusz się wyciszał. Życie, które na trzeźwo nazywał przegranym, strzelało wtedy kontaktowego gola. Nad ranem jednak zawsze się okazywało, że był spalony.

Teraz – w jako takiej kondycji i nowym czarnym płaszczu – Tadeusz zameldował się w komendzie na Lutomińskiej. Miał minę kapitana drużyny, która przetrzęła zero do pięciu. Łódzka policja była w stanie silnej aktywności. Miastem targała afery „łowców skór”. Dziennikarskie śledztwo prowadzone przez Tomasza Patorę odsłoniło szokujący proceder uśmiercania pacjentów przez pracowników pogotowia. Nowy wiek zapowiadał nowego rodzaju zbrodnie. Łódź trafiła na czołówki wszystkich gazet w Polsce, o aferze trąbiły stacje telewizyjne. Miasto, o którym nie chcieli myśleć nawet sami mieszkańcy – z pracownikami magistratu na czele – znalazło się w centrum zainteresowania. Tadeusz do zbrodni podchodził z dystansem. Miał pięćdziesiąt dwa lata. Wyglądał na pięćdziesiąt. Czuł się zaś tak, jakby miał osiemdziesiąt dziewięć. Od jakiegoś czasu omijały go ciekawe śledztwa, ale tkwił w policji, bojąc się głodowej emerytury. Wyliczenia kolegów mówiły, że jak Tadeusz popracuje dłużej, to emerytura będzie wyższa. Najbardziej Kostecki bał się wysokich cen alkoholu – obawa, że zabraknie mu na substancję ratunkową, motywowała go do wstawania rano i udawania się do pracy. Określenia „służba” Tadeusz od kilkunastu lat nie używał. Konkretnie od czasu weryfikacji. Gdy Kostecki

skonstatował, którzy koledzy z milicji przeszli bez problemów weryfikację i stali się policjantami, przestał używać szaczytnego zwrotu, który miał podkreślać służebny charakter tej profesji. Każdego ranka Tadeusz, bluźniąc jak szewc, wygrzebywał się z łóżka. Parząc kawę, pocieszał się, że – statystycznie rzecz biorąc – zostało mu około dwudziestu lat życia. W myślach krzepił się refleksją, że wypijany wieczorem alkohol skróci męczący czas oczekiwania na zgon. Gdy zaś miał lepszy humor, przypominał sobie Wołodyjowskiego, który powtarzał ciągle: „Memento mori”.

Tego dnia humor mu raczej dopisywał. Słoneczny dzień i prawie wiosenna aura zrobiły swoje. Po wejściu do komendy Tadeusz ze zdziwieniem spostrzegł, że czeka na niego prokurator Paweł Jasiński. Znali się od lat, prowadzili razem kilka spraw.

– Mam coś – powiedział prokurator.

Podali sobie ręce. Jasiński był młodszy od Tadeusza, miał czterdzieści pięć lat. Wyglądał na czterdzieści. Mentalnie miał trzydzieści pięć. Z zapałem człowieka, dla którego praca jest ważna, oznajmił:

– Ciekawy przypadek. Otóż zgłosił się do mnie ten konował Andrzejewski.

Kostecki doskonale znał patologa Andrzejewskiego. Prokurator kontynuował.

– Robił sekcję jakiegoś żuła. – kontynuował prokurator – Bezdomnego, znaczy się. Wiesz, w ramach zajęć ze studentami.

– No i?

– No i ten żul, bezdomny, znaczy się, był załatwiony pavulonem.

– Pierdolisz.

– Naprawdę. Wyniki sekcji były takie same, jak u ofiar łowców skór.

– Trochę to nielogiczne – zauważył Kostecki.

– Trochę?

– Masz rację. Tu nie ma żadnej logiki.

– Dlatego musimy się tym zająć. Ty się tym zajmiesz. Na razie ten żul, znaczy się bezdomny, będzie wątkiem pobocznym głównego śledztwa. Zobaczymy, czy ma jakiś związek z innymi ofiarami. A może to przypadek? Jeżeli weźmiemy pod uwagę motyw, który kierował łowcami, to ten żul, znaczy się bezdomny, kompletnie do niego nie pasuje.

– Ten żul się jakoś nazywał?

– Henryk Krotoszyński.

Po wypiciu herbaty i zjedzeniu kanapki Kostecki udał się na spotkanie z patologiem Andrzejewskim.

– O tego żula chciałem zapytać.

– Domyślam się – odrzekł doktor. – Normalny człowiek by powiedział: „Przyszedłem zapytać o szczegóły sekcji nieszczęśliwego człowieka, któremu tak zwana transformacja odebrała godność i rzuciła w wir bezdomności”. Ale prostak z milicji, przepraszam, komisarz policji tak nie powie. Czasy się zmieniają, ale w tak zwanych służbach mundurowych prostak goni prostaka.

– Może i prostak, ale uczciwy, co to łapówek nie bierze. Czasy się rzeczywiście zmieniają. Kiedyś zabijała milicja, dziś pogotowie.

– Kapitalizm. Tak to działa. Tego chcieliśmy.

– Powiesz mi o tej nieszczęśliwej ofercie transformacji?

– Bezdomnym był raczej krótko. Wątroba przyzwolita. Uzębienie też niczego sobie. Ogólnie był w niezłym stanie zdrowia. Przyczyna śmierci to zwiotczenie mięśni, zupełnie jak u ofiar łowców skór.

– Dziwne.

– Dlatego was o tym poinformowałem.

Afera tak zwanych łowców skór zszokowała społeczeństwo. Jak w soczewce skupiała wszelkie patologie transformacji. Była symbolem pogardy dla ludzkiego życia w imię nie ideologii czy religii, ale w imię pieniędzy. Na trop zbrodni, która na początku wydawała się tylko skandalem, wpadli dziennikarze „Gazety Wyborczej”, Tomasz Patora, Marcin Stelmasiak i Przemysław Witkowski. Wszystko zaczęło się zaraz po upadku komuny. Jeden z biznesmenów z branży pogrzebowej zaczął odwdzięczać się pracownikom pogotowia za informacje o zmarłych pacjentach. Na początku rewanżował się wódką, potem – niewielkimi sumami. Gdy do gry weszła konkurencja, sumy się zwiększyły. Konkurencja nie spała, też płaciła. Na pogrzebach chcieli zarabiać wszyscy. Ceny za informacje o zgonach skoczyły. Na początku dwudziestego pierwszego wieku „za skórę” płacono już tysiąc pięćset złotych. Z grubsza wyglądało to tak:

zaniepokojona rodzina wzywała pogotowie, po przyjeździe karetki pracownicy pogotowia przystępowali do reanimacji, na początku reanimowano, ale gdy reanimacja się nie udała, ratownik z wyrazami żalu informował, że zaraz przyjedzie ktoś, by zabrać zwłoki do kostnicy. Zrozpaczona rodzina podpisywała dokument, który faktycznie był umową z firmą pogrzebową. Mając fakturę od firmy organizującej pogrzeb, rodzina pobierała z ZUS-u stosowny zasiłek i z tych pieniędzy opłacano koszty uroczystości. Gdy bliscy chcieli wypaść godniej, dopłacali z własnej kieszeni. Taki układ wszystkim zadowalał. Firmy pogrzebowe zarabiały na pochówkach, rodzina szybko otrzymywała zusowskie świadczenie. Pracownicy pogotowia mogli po pracy zrelaksować się bonusowym alkoholem. Ci ostatni dosyć szybko zorientowali się, że warto bić się o „swoje”. Zażądali za swoje usługi na rzecz zakładu pogrzebowego nie symbolicznej flaszki, ale realnych pieniędzy. Machina ruszyła. Pieniądze kusily. Firmy licytowały. Kalkulacja ekonomiczna mówiła, że nie opłaca się ratować pacjentów – im więcej umierało, tym więcej pieniędzy można było zarobić. Coraz częściej więc pracownicy pogotowia ratowali tak, by nie uratować. Na karetki czekało się czasem godzinami. Zdarzały się przypadki, że wtajemniczony w proceder dyspozytor wysyłał do chorego karetkę z drugiego końca miasta w sytuacji, gdy inny ambulans był w odległości kilkuset metrów od wzywającego pomocy. W nocy, kiedy ruch jest nikły, karetka potrafiła jechać do poszkodowanego

dwie godziny – przy czym pacjent przebywał w lokalu oddalonym od pogotowia o niecały kilometr. Gdy takie praktyki zaczęły być nagłaśniane, mordercy wpadli na inny pomysł. Reanimacja była uskuteczniata szybko, niestety nie zawsze okazywała się skuteczna. Podczas rzekomej próby ratunku podawano nierozcieńczoną eufilinę lub pavulon. Pacjent umierał po cichu, za to w męczarniach. Był świadomy, ale nie mógł mówić. Dusił się, nie mogąc wezwać ratunku. Ilość wydawanego pavulonu szła w setki. Potem w tysiące. Innym sposobem na szybkie pozyskanie „skóry” było wstrzyknięcie dużej ilości potasu. On też potrafił zabić. Jeden z uczniów Hipokratesa doszedł do takiej wprawy w aplikowaniu potasu, że otrzymał pseudonim Doktor Potasik. Dzięki pracy dziennikarzy sprawą na poważnie zainteresowała się policja i prokuratura. Machina śledztwa ruszyła. Do jej obsługi skierowano najlepszych łódzkich śledczych. Kiedyś do tej grupy zaliczał się Kostecki. Kiedyś.

Teraz komisarz policji, a wcześniej porucznik MO, był starym, wypalonym gliniarzem. Jego aspiracje ograniczały się do wieczornej dawki alkoholu. Był bardzo zadowolony, że głośne medialne śledztwo przypadło w udziale innym. Jemu w zupełności wystarczały zwłoki bezdomnego. Przydzielona mu sprawa miała prawie same zalety. Śmierć bezdomnego nikogo nie interesuje. Nie będą o tym pisać gazety. Komendant wojewódzki nie będzie drążyć tematu i naciskać na szybkie znalezienie mordercy. Prokuratura również nie będzie się

czepiać. Na śmierci bezdomnego nikt nie zarobi, nikt nie zrobi kariery. Sprawa do umorzenia. Prosta jak barszcz. Kostecki widział tylko jeden problem. Sekcja zwłok wykazała, że do morderstwa użyto pavulon, czyli tego samego środka, którym zabijali łowcy skór. Tadeusz po cichu marzył, by oskarżeni łowcy przyznali się do zabicia bezdomnej ofiary transformacji. O niczym innym nie myślał. I jeżeli miał do złoczyńców żal, to tylko o to, że nie użyli siekiery, że wzgardzili tym tradycyjnym – można by rzec – arcy-polskim narzędziem zbrodni. Zostałyby pewnie jakieś linie papilarne. Krew wsiąknęłaby w trzonek. Słowem: zostałyby wyraźne ślady. Doświadczenie uczyło, że żaden z mieszkańców miasta, nazywanego ongiś polskim Manchesterem, nie wyrzuciłby rzeczy tak cennej i potrzebnej jak siekiera. Mając bogate doświadczenie śledczego, Tadeusz był świadom, że po zabójstwie między mordercą a siekierą nawiązywała się jakaś magiczna więź. Nierozerwalna. Jakby odziedziczona po prasłowiańskich przodkach, którzy prababkami dzisiejszych siekier rąbali Wioletów, wikingów i innych wrogów. Konkurentów do ciał niewieścich i pieczonych nad ogniem polci baraniny. Dlatego Kostecki po wielokroć odnajdywał narzędzia zbrodni, którymi zabójcy ciosali stare meble na opał. Byli z nimi związani silniej niż z żonami, konkubinami, kolegami spod celi.

Do noclegowni na ulicy Szczytowej przyjechał wczesnym popołudniem. Gdyby zabójca użył siekiery, świadkowie zostaliby wezwani na Lutomiarską. Pavulon

spowodował, że Tadeusz pojechał służbowym samochodem na Stoki. Nazwa osiedla wzięła się od falującego terenu, który niezbitnie potwierdzał istnienie Wyżyny Łódzkiej. Nadal było ciepło, tyle że teraz słońce skryło się za chmurami. W ośrodku nie było bezdomnych – regulamin mówił, że rano musieli wyjść. Do swojego „domu” mogli wrócić dopiero późnym popołudniem. Kosteckiego przyjęła jedna z pracownic ośrodka.

– Jestem z policji – powiedział Tadeusz, pokazując legitymację.

Pracownica nie była wysoka. Miała długie włosy, o ich kolorze mówi się: ciemny blond. Szare oczy patrzyły na Kosteckiego z uwagą. Nie było w nich żadnej kokieterii, widać za to było dużo zmęczenia.

– Któryś nabroił? – zapytała.

– Nie. Chciałem porozmawiać o Henryku Krotoszyńskim.

– On nie żyje.

– Został zabity.

Oczy kobiety zrobiły się ogromne. Kostecki pomyślał, że widzi oczy sowy. Pracownica noclegowni zaprosiła go do środka, czym komisarz nie był zachwycony. Mimo wysiłków personelu w pomieszczeniu czuć było zapach beznadziei, niespełnionych obietnic, zmarnowanych szans, zdrady, rozpacz i zwyczajnego ludzkiego pecha. Kostecki zapalił mimo nagany, która pojawiła się w sowych oczach.

– Rozumiem, że znała pani tego bezdomnego?

– Henryka. Miał na imię Henryk.

Kostecki wyczuł w głosie kobiety złość. Zganił się w myślach za własną głupotę i postanowił uważać.

– Oczywiście. Chciałem zapytać, czy znała pani pana Henryka Krotoszyńskiego.

– Tak. On tu mieszkał. Tak to można chyba nazwać. Często rozmawialiśmy.

– O czym?

– O życiu. Nie pamiętam dokładnie, kiedy tu przyjechał po raz pierwszy. Jakoś kilka lat temu. Może z siedem? Tak, to był chyba dziewięćdziesiąty piąty. Albo szósty. Kilka ładnych lat.

– Opowie mi pani o nim?

– Za dużo nie wiem. Był kiedyś jakimś biznesmenem. Na początku transformacji zarobił duże pieniądze. Potem karta się odwróciła. Nie mówił o tym zbyt wiele, ja nie naciskałam. Właściwie wiem tylko, że na początku lat dziewięćdziesiątych był zamożnym człowiekiem.

– Jakaś rodzina? Gdyby każdy niespełniony biznesmen zostawał bezdomnym, to potrzebne by były większe noclegownie.

– Miał żonę, ale rozwiódł się z nią. Podobno już nie żyje. Ten rozwód to był jeszcze za komuny. Tak mówił.

– Dzieci?

– Córka. Ale nie utrzymywała z nim kontaktu. Henryk mówił, że wyjechała do Anglii. Albo do Stanów Zjednoczonych, nie pamiętam dokładnie. On bardzo mało mówił o dawnym życiu. Wolał opowiadać

o książkach, które przeczytał, o filmach, które obejrzał. Był bardzo ciekawym człowiekiem, czytany i z dużą wiedzą, takim jakby filozofem. Miał różne refleksje. Lubiłam z nim rozmawiać. Raz w roku opłacałam mu możliwość korzystania z biblioteki. Całymi dniami przesiadywał w czytelni na Gdańskiej.

– Miał jakichś wrogów?

– Nie, był ugodowym człowiekiem. I dobrym organizatorem, potrafił zapanować nad innymi. To znaczy wyznaczał dyżury.

– Dyżury?

– Chodzi o sprzątanie, zmywanie podłóg. Wielu naszych podopiecznych ma z tym problem. On nie miał, był czysty, schludny, potrafił też pokierować tymi, którzy mieli kłopot z zachowaniem czystości.

– Czy było do niego wzywane pogotowie? Znaczą się do pana Henryka.

– Nie. Nie przypominam sobie. Nie miał problemów ze zdrowiem. Nie pił, nie palił. Przynajmniej ja nigdy nie widziałam, by palił. Naprawdę to był normalny człowiek.

– Czy zostały tu jego rzeczy?

– Nie. Procedury mówią, by takie rzeczy palić. Zresztą nie było ich zbyt dużo. Książki oddałam do biblioteki. Byliśmy przekonani, że to był jakiś zawał albo wylew. Nie mieliśmy pojęcia, że ktoś go zabił.

– Rozumiem. Czy ktoś pana Henryka odwiedzał? Jacyś koledzy? O kimś może mówić? Dawnym współniku? Przyjacielu? Może miał brata? Albo kuzyna?

– Nic o tym nie wiem. Jego brat utopił się, gdy Henryk miał piętnaście lat. O tym akurat kiedyś opowiadał. O żadnych przyjaciółach nie wspominał. O kuzynach też nie. Nie zauważyłam, by ktoś do niego przychodził.

– Hm. A czy z kimś się przyjaźnił? Pytam o innych bezdomnych.

– Nie. A jeśli już, to nie nazwałabym tego przyjaźnią. Dogadywał się. Nie był konfliktowy. Potrafił ludzi zmotywować do sprzątanía, do przygotowań wigilijnych. Nawet kiedyś jakąś aukcję zrobił, by wesprzeć Owsiaaka.

– Aukcję?

– Tak. Każdy z nich – z bezdomnych, znaczy się – chodzi po śmietnikach. Henryk też chodził. Szukał książek, a jak jakieś znalazł, to je potem sprzedawał w antykwariatach. Ta aukcja polegała na tym, że każdy wystawiał to, co cennego znalazł. Ja kupiłam całą Trylogię, którą Henryk znalazł na śmietniku. Kilkaset złotych uzbierali i przesłali Owsiakowi.

– To chwalebne.

W swoim mieszkaniu na Retkini Tadeusz pojawił się wczesnym wieczorem. Było już ciemno. Przed wejściem do klatki schodowej nabył dzienny, a właściwie wieczorny limit alkoholu. Zawsze kupował butelkę taniego wina i jedno mocne piwo. To był standard. Wersja ekskluzywna przeznaczona była na gorsze dni – wtedy kupował dwa wina. Gdy dzień był bardzo zły, komisarz nabywał

butelkę wódki. Zawsze też zaopatrywał się w coś do jedzenia, najczęściej parówki.

W mieszkaniu panowała ciemność, jednak z drugiego pokoju dochodził blask włączonego komputera.

– Cześć – powiedział Tadeusz.

Odpowiedział mu jakiś pomruk, który wydobył się z gardła siedzącego przy komputerze starca. Eustachy miał osiemdziesiąt siedem lat. Wyglądał na osiemdziesiąt trzy. Wiek mentalny nie był łatwy do odczytania i wahał się między piętnastym a siedemnastym rokiem życia. Wielką pasją starszego pana stał się komputer. Im częściej z niego korzystał, tym bardziej młodniał duchowo.

– Znowu parówki? – ze złością zapytał Eustachy.

– Jestem gliniarzem, a nie biznesmenem.

– Po pierwsze: jesteś pijakiem. Gdybyś tyle nie chlał, stać by cię było na porządne żarcie, na ładną kobietę i dobry samochód. Ale jesteś mentalnym żulem, który chła tanie wino.

– To akurat nie jest tanie – oburzył się Tadeusz.

Eustachy podjechał wózkiem do kuchni i wziął do ręki półlitrową butelkę wina. Popatrzył na etykietę i przeczytał:

– Najmocniejsze na rynku. Trzeciego nikt nie dopił. Czternaście procent. Cena trzy złote, butelka kaucjonowana.

– Tanie jest po dwa i pół zeta. Poza tym tanie wina są w innych butelkach. Zielonych, zero siedemdziesiąt pięć – w głosie Tadeusza można było wyczuć nutę wstydu.

Eustachy pokiwał głową i powiedział:

– Jesteś mentalnym peerelowskim menelem. Komuna przeżarła ci duszę. Jesteś wrakiem. Ja w twoim wieku...

Eustachy był przyszywanym wujem Tadka. Tadeusz był synem bliskiego przyjaciela Eustachego – Eugeniusza, który zginął w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku. Eustachy nie miał rodziny. Prawie wszyscy jego bliscy zginęli podczas wojny, a reszta rodu rozeszła się po świecie. Kilka lat temu odezwała się Natasza z Kazachstanu, wnuczka kuzynki starszego pana. Eustachy nie okazał zainteresowania ożywianiem więzów rodzinnych. Twierdził, że długoletnie życie w ZSRR musiało zniszczyć kościec moralny jego rodziny. Eustachy był zagorzałym wrogiem lewicy, w młodości – zadeklarowanym endekiem. Podczas karnawału Solidarności „nie dał się zwieść Żydom i masonom” i nie zgłosił akcesu. Po przełomie roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego przez chwilę popierał Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, jednak dosyć szybko się zraził, jak to mówił, pozornym patriotyzmem zakamuflowanych lewaków. Swoje sympatie polityczne zaczął lokować w Narodowym Odrodzeniu Polski, stał się zagorzałym fanem Tejkowskiego i jego kamratów. Im Eustachy był starszy, tym bardziej rosła jego fascynacja skrajną prawicą. Można powiedzieć, że dzięki NOP przeżywał drugą młodość, która nie szła jednak w parze z kondycją fizyczną. Stary endek był po zawale i wylewie. Jako dobrze zarabiający kawaler prowadził dosyć hulawczy tryb życia,

co zemściło się w jesieni życia – Eustachy był przykuty do wózka. Kostecki musiał się nim opiekować. Podobnie jak przyszywany wuj, był kawalerem, a więc opieka nie psuła mu relacji rodzinnych. Mieszkanie Eustachego na Roosevelta Tadeusz wynajmował. Pieniądze za wynajem szły w większości na przelew.

– Wiem, co robiłeś, będąc w moim wieku. – Kostecki powiedział to przez zaciśnięte zęby.

Gdy kapsel odpadł od flaszki, wino zrobiło głośne psssss.

– O, widzę, że prawdziwy szampan – zadrwił starszek.

Kostecki nic nie powiedział, tylko przytknął butlę do ust i zaczął łapczywie pić. Gdy wchłonął prawie całą zawartość półlitrowej butelki, rzekł:

– Mówiłem ci. To nie jest zwyczajne tanie wino. Nie jest drogie, to fakt, ale to nie jest alpaga, tylko normalne wino owocowe.

– Jabłkowe?

– Tak. Jabłkowe. Takie jak kiedyś, z owoców, a nie z chemii.

Eustachy nałożył sobie parówki na talerz i polał je dużą ilością musztardy. Zaczęli jeść. Eustachy pił herbatę. Tadek złopał piwo z puszki.

– Chłasz, chłasz, a potem jesteś głodny i jesz w nocy chleb z konserwą. Alkohol przyspiesza trawienie. Nie najadasz się kolacją, musisz dojadać w nocy. Brzuch ci rośnie. Nie masz już trzydziestu lat.

– Kurwa, odpierdol się, jebany faszysto!

Gdy Tadeusz wchodził do mieszkania, był przekonany, że dzień był zwyczajnie podły. Taki standardowo kiepski. Dlatego kupił zestaw zwyczajny. Teraz biegł po schodach po wódkę. Na szczęście dzięki transformacji gorzałę można było kupić wszędzie i o każdej porze. Czasem Kostecki myślał, że z jego perspektywy pozbycie się kartek na wódkę i umożliwienie jej konsumpcji bez ograniczeń było największym osiągnięciem III RP.

ROZDZIAŁ 2

Wieczorne wypicie produktu polskiego przemysłu spirytusowego zaowocowało u Tadeusza lekkim bólem głowy z rana. Kiedyś nie miał problemów z wsiadaniem po pijaku do samochodu. Jechał. I tyle. Teraz bał się kontroli. Bał się też, że nie wyhamuje. Perspektywa zostawienia Eustachego na łasce Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej zmuszała go do ostrożności i logicznego myślenia. Postanowił, że do pracy pojedzie tramwajem. Szynowy pojazd był pełny, mimo że Tadeusz wsiadł na trzecim przystanku, licząc od pętli, przez łodzian nazywanej krańcówką. Z każdym przystankiem ludzi przybywało. Dominowali młodzi, tuż przed trzydziestką lub zaraz po niej. Sprawiali wrażenie, jakby wszyscy się znali. Pasażerowie wymawiali nazwy ulic, barów, opisywali różne skrzyżowania, przystanki, charakterystyczne punkty. Tadeusz próbował je rozpoznać i umiejscowić, lecz mu to nie wychodziło. Zwalał to na alkoholowe

opary, ale przecież nie wypił wczoraj całej flaszki. Upił jedną czwartą i zasnął. Był co prawda lekko wczorajszy, lecz nie tak, by nie kojarzyć miejsc w rodzinnym mieście. Dopiero po kilku minutach Tadek zorientował się, że opisywane przez młodych lokalizacje nie znajdują się w Łodzi. Tłum pasażerów jechał na dworzec Łódź Fabryczna. Stamtąd udawali się do Warszawy. Na dworcu zaś mieli się spotkać z krajanami z Widzewa, Dąbrowy, Teofilowa, starych Bałut, Chojen. Młoda Łódź płynęła do stolicy. Tam była praca, tam były perspektywy. Oczywiście do Warszawy jechali wybrańcy losu. Wykształcona elita. Dzieci zapobiegliwych rodziców, którzy tyrali, by zapewnić dzieciom lekcje angielskiego oraz korepetycje z matematyki. W śmierdzących wagonach PKP tłoczył się kwiat miasta włóknarzy. Chwasty zostawały w zmurszałych bramach. Tam zapuszczały korzenie. Tam żywiły się tanim winem, najmocniejszym na rynku. Tak mocnym, że „trzeciego nikt nie dopił”. Przywiędłe kwiaty po przyjeździe do stolicy nabierały blasku. Wiele łódzkich róż i tulipanów kwitło w warszawskich ogrodach, na złotych tarasach. Żonkile i gerbery marzyły, by zaczepić się nad życiodajną Wisłą. Zarobić na czynsz. Dostać kredyt. Odetchnąć wolnym od wyziewów łódzkiej biedy powietrzem. Chwasty trwały w bramach. Zapuszczały korzenie w szczelinach sypiących się kamienic. Chwasty czerpały moc z wychodkowych nawozów, wyciskały życiowe soki z łon swoich konkubin. Chwasty zostawały w mieście Tuwima, autora *Kwiatów polskich*.

Tłum rósł. Do dworca był kawał drogi, a tramwaj pękał w szwach. Kostecki rzucił okiem na zegar, który wyświetlał czerwone cyfry. Było po piątej. Pierwszy pociąg do stolicy ruszał za pół godziny. Jeżeli przyjedzie o czasie, młodzi zdążą na ósmą do pracy. Uświadomienie sobie, która jest godzina, przypomniało Tadeuszowi, że wczoraj wcale nie upił jednej czwartej flakonu. Wypił całą flachę. To, że na razie nie cierpiał, było wynikiem tego, że wciąż jeszcze był pijany. Gdy uzmysłowił sobie to wszystko, retkińskie bloki zaczęły się trząść. Kostecki miał wrażenie, że tramwaj sunie dnem potężnego wawozu i betonowe bloki za chwilę runą i zmiażdżą kruchy czerwony pojazd. Kiedy dojechał do dworca Łódź Kaliska, wysiadł i poszedł na pobliską stację benzynową – mocne piwo miało przygotować organizm na armagedon kaca. Komisarz powłóczył się trochę, po czym o siódmej zawitał do komendy. Przed wejściem pochłonął dużą liczbę miętusów. Na Lutomierskiej spotkał swojego druha – komisarza Owczarka. Komisarz Owczarek był młodszy o ponad dziesięć lat od weterana z Retkini i miał od Tadeusza dużo więcej sił. Był jednym z tych policjantów, którzy zajmowali się aferą łowców skór. Kostecki zrobił sobie kawy.

– Mam do ciebie prośbę – zagaił.

– Wal jak w dym.

– Sprawdź mi coś w komputerze.

– No kurwa, sam se sprawdź. – Owczarek był zmęczony intensywnością pracy. Z tak zwanej góry szły

naciski, by śledztwo dotyczące domniemyanych morderców z pogotowia było rzetelnie przeprowadzone. I szybko.

– Bądź kolegą.

– Stoleckiemu zleć.

Aspirant Piotr Stolecki był jednym z najgłupszych funkcjonariuszy, jacy kiedykolwiek pracowali na Lutomińskiej. Koledzy – czy też lepiej: znajomi z pracy – mówili o nim Saladyn.

– Nie chcę temu chujowi nic zlecać – oznajmił stanowczo Tadek.

Komisarz Owczarek wreszcie zrozumiał, o co chodzi.

– No dobra. To jak się ta pani nazywa?

– Barbara Kawka. Pracuje na Szczytowej, w ośrodku dla bezdomnych.

– Jak znajdę chwilę, to sprawdzę.

– Jesteś funfel.

– Się wie.

Po zjedzeniu kanapki Kostecki łyknął kolejną transeę miętusów i ruszył na Szczytową. Rano, czyli przed piątą, czuł się na tyle dobrze, że wziął prysznic i założył czystą koszulę. W kiblu, przed zażyciem miętusów, gołnął sobie jeszcze resztkę wódki z małej flaszki. Umył dobrze usta i ruszył. Na Szczytowej pojawił się, gdy pensjonariusze szykowali się do zgodnego z regulaminem opuszczenia schroniska. Pani Barbara była w pracy. Uśmiechnęła się lekko na widok policjanta. Kostecki wyłuszczył, że przyjechał, by porozmawiać z kolegami

Henryka Krotoszyńskiego. Najbardziej interesowali go ci, z którymi zamordowany mieszkał w pokoju. Pierwszy poproszony o rozmowę został pan Feluś – czyli Felicjan Grzelak, onegdaj pracownik farbiarni w zakładach imienia Marchlewskiego.

– Heniu to był porządny chłop – zaczął pan Feluś. – Taki zorganizowany. Urządzał sprzątań. Taki miał zmysł. Kiedy miałem przepuklinę i nie mogłem sprzątać, to on brał za mnie te dyżury. Ja to tak odpracowałem, że potem na bałuckim rynku sprzedawałem te książki, które on zbierał. Co prawda żadnej nie sprzedałem, ale udało mi się opchnąć gazetki z gołymi babami, które on znalazł. Bardzo się Heniu ucieszył, bo to był ładny grosz.

– Miał jakichś wrogów? Ktoś mu groził?

– Tak. Miał takiego jednego wroga. Był taki Mirek, co nie chciał sprzątać. Oni się pokłócili, a potem to nawet pobili. Ten Mirek teraz tu nie przychodzi. Ale odgrażał się, że Henia zajebie. Tak mówił.

– A o swojej przeszłości coś pan Henryk mówił?

– Mało. Mówił, że go kobita kantem puściła, gdy te interesy, które robił, zaczęły szwankować. Kobity takie są. Kasa się kończy albo zaczynają się kłopoty, to kobita robi pstryk i znika. Tak to jest. Miałem kiedyś taką Wieśkę. To już było, gdy zakład padł, a ja straciłem prawo do kuroniówki. Najpierw zadłużyłem mieszkanie na Teofilowie, trzy pokoje. Małe, ale trzy. Zamieniłem się wtedy z taką jedną, która miała mieszkanie

na Grabowej. Stara kamienica, od cara pewnie niere-montowana, z wychodkiem na podwórku. Zamieniłem się. Nie byłem w stanie płacić czynszu w bloku. Ale nie byłem stoczony. Rano wstawałem, goliłem się. Jakiś porządek trzymałem. Gdy się przenieśliem na Grabową, to żona akurat dostała pracę przy jagodach, w Szkocji chyba. To lato było. Una wyjechała, a ja zem zostałem. Una w tej Szkocji została. Jakiego gacha przytuliła i została. Nie mam o to do niej pretensji. Każdy chce lepiej żyć. Na tej Grabowej nie szło nie pić. Tam każdy pije. Jabole albo i gorzej, jakie wynalazki. Raz, drugi z miejscowymi popilimy i tak już zostało. Roboty nie mogłem znaleźć. Ale nie było jeszcze tak źle. Tam zaraz obok jest Uniontex, to znaczy był Uniontex. Teren ogromny. Złom żeśmy tam zbierali. Taki Maniek z Sosnowej, co tam robił za komuny, to wiedział, gdzie szukać. Najbardziej opłacało się brać miedź, aluminium i mosiądz. Szczególnie mosiądz. Panie, to Scheiblerowskie zakłady były. Klamki były z mosiądzu. Ten Maniek to był nasz skarb. On wiedział, co i jak. Panie, jakie tam wal-ki szły o ten złom. Ile krwi się polało. No i wtedy się ta Wieska napatoczyła. Dzięki Mańkowi pieniądz był. Postanowiliśmy, że nie będziemy chlać, tylko odłożymy jaki grosz. Tak sobie myślałem wtedy, że na złomie to można zarobić. Z takim Gienkiem i tym Mańkiem chcieliśmy założyć skup złomu. Wagę, taką dużą, znaleźliśmy w dawnym gabinecie medycznym. Miejsce też już mieliśmy upatrzone. Taki Jańczak, Jańczak Alojzy, to

ma tutaj niedaleko taki domek i komórki różne. Tak my sobie wymyślili, że na jego posesji będzie centralna składnica. Potem segregacja, i do komórek: aluminium, puszką osobno, mosiądz, żeliwo. Na makulaturze zarabia się kiepsko, ale jak człowiek obraca dużymi tonami, to też można. Słowem: mieliśmy plan. Kiedy już ładny pieniądz mieliśmy odłożony, to ta Wieśka spierdoliła. Z kasą, ma się rozumieć. I ja się po tym już nie podniosłem. Już nie byłem w stanie. Chłać zacząłem. Mieszkanie na Grabowej diabli wzięli. Już byłem nikim. Dopiero teraz jakoś stoję na nogach. Pani Basia jest kochana. Goni nas do roboty, ale bez tego sprzętania to my byśmy byli niczym. A tak? Mam pięćdziesiąt dwa lata. Może jeszcze się uda jakoś żyć godnie.

Kostecki spojrział na bezdomnego. Zdziwił się, gdy usłyszał, że rozmówca był w jego wieku. Tadeusz był pewien, że niedoszły właściciel składnicy złomu był o dekadę starszy.

Drugi sąsiad Krotoszyńskiego z pokoju nie miał o zabitym wiele do powiedzenia:

– Un jaki uczony był – zaczął pan Mietek.

– Dlaczego pan tak uważa? – zapytał Tadeusz.

– Bo un mówił tak jak te, no, wykształcone mówią. Ja nie powiem, dobre miałem kontakty z Heńkiem. Za dużo my nie gadały. Ale un był dobry człowiek. Tego ja nie mogę powiedzieć.

– Miał jakichś wrogów? O kimś opowiadał? Bał się kogoś?

– No ja to nie wiem. Un mnie, znaczy się, nic nie mówił. Un był taki...

– Jaki?

– No, jak to się mówi, że był zamknięty. On dużo nie mówił. O sobie, znaczy się. Un książki zbierał, co ludzie wyrzucili. Jak ja zauważył, że un taki uczoney, to ja go poprosił o pomoc. Mój syn chodzi do takiej szkoły, no, specjalnej, znaczy się. Powinien być w rejonowej szkole, bo un w domu dziecka mieszka. Numer dziewięć. On jest w tej specjalnej, bo został opóźniony przez przedszkole. Przedszkole stwierdziło, że się nie nadawał do szkoły, że się nic nie nauczył i poszedł do tej, no, specjalnej szkoły. Tam jest dużo lepiej. Już umi cokolwiek, umi napisać, umi przeczytać, umi rozwiązywać litery. Jak był w przedszkolu, to nie umiał nic. Ja staram się mu jakoś pomóc. Interesuję się. Synem, znaczy się. On się mnie trochę wstydzi, ale mnie kocha. Ja jego też. Syna, znaczy się.

– Jaki jest związek syna z panem Krotoszyńskim?

– No, un go uczył. Znaczy się Heniu. Pomagał Kamilkowi. Un tam szedł ze mną do domu dziecka. Ja mu nic nie mówił. Synowi, znaczy się. Ja nic nie mówił, że Heniek też jest bezdomny. Ja mówił, że Heniek jest mundry i jemu, znaczy się Kamilkowi, chętnie pomoże. Kamilek bardzo lubił, jak Heniu przychodził. Tam, w tym domu dziecka, jest taki dyrektor, znaczy się wicedyrektor. Une tam na niego wołają Wodzu. Znaczy się dzieciaki tak na niego wołają. Wodzu mówił mi, że

ja dobrym ojcem jestem, że się staram. Że mam przyzwoitego kolegę. Znaczy się Heńka. Ja się zapytał tego Wodza, znaczy się tego dyrektora, to jest wicedyrektora, czy jak ja jestem dobrym ojcem, to może jakie mieszkanie socjalne bym dostał i zamieszkał z Kamilkiem jak normalny człowiek. Ale un, znaczy się Wodzu, powiedział, że un nie ma takiej władzy, że un nic nie może. Ale powiedział, że jak znajdę pracę, to un napisze do sądu, że ja dobrym ojcem jestem.

Bezdomny na chwilę zamilkł, a potem buchnął:

– Że ja jestem dobry, a nie ta kurwa, co mieszkanie zadłużyła. Una, znaczy się Zdziśka, moja żona. Kurwa jedna jebana! To przez nią jestem na bruku, a Kamilek w domu dziecka!

Bezdomny zamilkł na chwilę, po czym popatrzył na Tacka i dodał:

– Ale Henia szkoda. Dobry chłop z niego był. Heniu miał taką kobitę.

– Co to za kobieta?

– Ja nie znam jej imienia, tej Heńkowej kobity. Ale ja ją kiedyś widział. Una chyba też bezdomna. W schronisku dla kobit.

Gdy Kostecki zakończył spotkanie z bezdomnymi, podeszła do niego Barbara.

– Mam nadzieję, że rozmowy wniosły coś do śledztwa.

Stanęła blisko. Za blisko. Tadeusz się odsunął. Bał się, że miętusy przestały działać i kobieta poczuje zapach alkoholu. Zrobiło mu się głupio. Czuł się starym,

złamanym przez życie człowiekiem. Barbara spojrzała w okno i zapytała:

– Wie pan, co to jest TMR?

– Obawiam się, że wątpię, bym wiedział.

– Taksometryczny Miernik Rozwoju. To rodzaj działań, które polegają na analizie problemów społecznych. Na tle dużych miast Łódź wypada fatalnie. Najwyższe bezrobocie. Najniższy odsetek absolwentów szkół ponadpodstawowych, najniższy dochód w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Najniższe wydatki na oświatę. Nawet za komuny było u nas gorzej niż w innych miastach. Średnia pensja włóknarki była niższa o jedną czwartą od robotniczych pensji w innych miastach. Teraz te różnice jeszcze się pogłębiają. Górniczy przyjadą do Warszawy pod sejm, zrobią awanturę, opony spalą, kilku policjantów zrzną i pokażą, że z nimi trzeba się liczyć. Naszych robotnic pies z kulawą nogą nie uszanuje. Bo kto by nie rządził w Polsce, to zawsze lekceważy kobiety. Zawsze. Zakłady padały jeden po drugim i nikt się nie zainteresował. Ani Solidarność, ani te czerwone komunistyczne szmaty, co się dorwały do żłobu w dziewięćdziesiątym trzecim. Przepraszam. Przecież teraz to nie komuniści, to socjaldemokraci.

Kostecki nic nie powiedział. Pluł sobie w brodę, że wieczorem zachlał. Był przekonany, że śmierdzi alkoholem na kilometr.

– Mam nadzieję, że się nie zagalopowałam i nie uraziłam pana.

– Nie. Nie uraziła mnie pani.

– Jeszcze gorzej wygląda sytuacja Łodzi w rankingach powiatów. Jesteśmy w czwartej setce. Wie pan, na którym miejscu jest Wrocław? O lidera nie pytam, bo wiadomo, że to Warszawa.

– Nie mam pojęcia.

– Wrocław jest na dziesiątym. Kraków na trzecim. Bezrobocie w Łodzi jest zawsze większe niż średnia krajowa. A średnia krajowa to osiemnaście procent. Co piąty Polak nie ma roboty. Wśród młodych ten wskaźnik jest wyższy. Nasze dzieci tyrają w Warszawie. Ci, co się dorabiają, kupują tam mieszkania. Już nie wrócą do Łodzi. Za chwilę wejdziemy do Unii i kolejna tranza pojedzie za chlebem za granicę. Wielu pewnie tam zostanie, na Zachodzie. Po co mają tu wracać? Do tego syfu?

Zapadła cisza. Na niebie pojawiły się ciężkie ołowiane chmury. Kostecki miał wrażenie, że zza chmur za chwilę wyłoni się karząca ręka Boga i dobieje to nieszczęsne miasto.

– Ma pan dzieci? – zapytała Barbara.

– Nie mam. – Kosteckiemu zawsze w takich sytuacjach robiło się smutno.

– Ja mam córkę. Studiuje w Warszawie. Mam nadzieję, że jej się tam ułoży i nie będzie musiała wracać do Łodzi.

Przed wejściem pojawił się jakiś bezdomny. Komisarz pomyślał, że to trzeci mieszkaniec pokoju, w którym

nocował Krotoszyński. Tadek spojrział pytająco na panią Barbarę.

– To Zdzisław Kołodziej. Lubi wypić. Czasem znika na kilka dni. Potem wraca, nabiera sił i idzie dalej w tango z kolesiami. Sugeruję, żeby pan rozmawiał z nim na zewnątrz. Rozumie pan, on się umyje dopiero później.

Kostecki kiwnął głową i wyszedł przed budynek. Barbara się nie myliła. Tadeusz pomyślał, że ci, którzy mają w domu prysznic, powinni się uważać za wybrańców losu.

– W czym mogę pomóc? – Pan Zdzisław miłym tonem starał się zagłuszyć zapach śmietnika.

Kostecki zawsze był przeczulony na punkcie zapachów. Postanowił zadać jedno, ale kluczowe pytanie.

– Pan Krotoszyński miał podobno jakąś przyjaciółkę. Zna ją pan?

– Ta. Ona często handluje na Bałuckim Rynku.

– A jak się nazywa?

– Zośka. Tak na nią mówią. Ale nie wiem, jak ma na nazwisko. Jak miał Heniu na imię, to się dowiedziałem, jak umarł.

– Miał jakichś wrogów? Ktoś mu groził? Słyszał pan o tym? – Tadeusz zmusił się do zadania kolejnych pytań, mimo że jego nos protestował.

– Kiedyś się pokłócił z takim jednym. Nie wiem, jak ten gość się nazywa. On tu nie bywa. Jak jest zima, to pewnie lezie do Brata Alberta.

– A o co się pokłócili? O kobietę?

– Nie. O politykę.

– O politykę?

– Tak. Tamten gość mówił, że za komuny było lepiej.

– A Heniu?

– Heniu mówił, że teraz jest lepiej. Ja panu, komisarzu, powiem tak: ja Henia lubiałem, ale powiem panu, że ja to się zgadzam z tym gościem od Alberta. Za komuny miałem lepiej. Może nie było w sklepach tak jak teraz. No, stało się w kolejkach. Ale jak już co było, to mogłeś pan kupić na raty. Starczało na życie. Ja to nawet do Bułgarii jeździłem na handel. Powodziło mi się, w wytwórni win pracowałem. Taki układ miałem z brygadzystą, że każdego dnia wpisywaliśmy do protokołu, że dwie skrzynki jaboli się potłukły. On brał jedną, a ja drugą. Ten brygadzista był taki, że jak ja szłem na L4 albo wyjeżdżałem na handel, to on dla mnie tę skrzynkę brał. Te swoje winka sprzedawałem w kamienicy. Taką melinkę miałem. Dla zaufanych. Przez dwadzieścia lat tak robiłem. Wszystko, co zarobiłem na tych winach, to dawałem na dzieci. Czekolady miały, batony, sinalco kolę, a nie to pepsi, co w sklepach. To sinalco było z pewexu. Dzieci spodnie teksasy miały, nie takie z Odry, ale z Ameryki. Prawdziwe amerykańskie. To było życie jak w Madrycie. Ale przyszły liberały i złoty czas się skończył. Mnie pierwszego wyrzucili z wytwórni, dopiero potem tego brygadzystę. Żona, jak się dowiedziała, że nie mam roboty, to się wyprowadziła i nawet adresu nie podała. Dzieci już były na swoim. Dzisiaj nawet

w święta o mnie nie pamiętają. A pomyśleć, że kiedyś za komuny, jak gwiazdka była, to one miały i snickersy, i marsy. Orzechy kokosowe. Mirindę. Żyło się dobrze wtedy. A teraz? Pracy nie ma żadnej. A jak już jest, to za nędzne grosze. Jeszcze jak mieszkałem w kamienicy na Wojska Polskiego, to znalazłem robotę. Za osiemset złotych. Co z tym zrobić? Na co to ma wystarczyć? To ja już wolę pokombinować z MOPS-em. Lepiej na tym wyjdę. Chociaż na jakiego kielonka starczy. Obiady jadam w Caritasie na Gdańskiej. Jak zimno, to przyjdę do noclegowni. Jakoś żyję. Jednego tylko żałuję. Tego, że głosowałem za Solidarnością, potem na Wałęsę. Co mi z tego przyszło? Pracę straciłem, żona odeszła. Jaka ta komuna była, taka była, ale ideały były. A teraz nie ma żadnych ideałów. Młodzież nie ma żadnych ideałów. A my żeśmy mieli ideały: honor, ojczyzna. Prawda?

Po powrocie do komendy Tadeusza powitał uśmiechnięty komisarz Owczarek.

– Udało się. Pani Barbara mieszka na Podhalańskiej na Dąbrowie. Ma córkę, która studiuje i mieszka w Warszawie. Tam dorabia. Pani Barbara jest od przeszło pięciu lat rozwiedziona, ma czterdzieści trzy lata. To tyle, co udało mi się dowiedzieć na drodze oficjalnej. Nieoficjalnie wiem, że nie ma żadnego partnera czy tam przyjaciela.

– Skąd to wiesz? – Kostecki wołał się upewnić.

– Od dzielnicowego. On kiedyś był w obyczajówce. Wiesz, jak to jest. Czym skorupka za młodu nasiąknie,

tym na starość trąci. On ma dryg do takich rzeczy. Ma u mnie pewien dług wdzięczności. To pewna informacja. O to ci chodziło, tak?

– Tak.

Gdy Kostecki wrócił do domu, postanowił, że nie będzie pił. Nie kupił wina. Substytutem alkoholu miały być dwie butelki mocnego piwa. Komisarz był bowiem człowiekiem postępowym i nie uważał piwa za napój alkoholowy.

ROZDZIAŁ 3

Kostecki wypił zbyt mało alkoholu, by móc szybko zasnąć. Wreszcie jednak się udało, a rano obudził się w dobrym nastroju. Założył czystą koszulę, która od wielu miesięcy, a może nawet od roku czekała na specjalną okazję, czyli na randkę. Co prawda oficjalnie nie miała być to żadna randka, jednakże Tadeusz zamierzał wyglądać schludnie. Buty wypastował jeszcze wieczorem. Nie miał żadnego dezodorantu, ale obiecał sobie solennie, że gdy tylko jego plany zaczną się realizować, to go kupi. Założył marynarkę, i tu pojawił się problem. Odzienie okazało się zbyt kuse. Komisarz postanowił więc, że weźmie się za odchudzanie. Na szczęście grzebień – w przeciwieństwie do marynarki – zachował się lojalnie i nie najgorzej uczesał włosy, które, jak na wiek Tadeusza, trzymały się zadziwiająco dobrze.

– Nieźle. Oczywiście jak na byłego milicjanta – skomentował wygląd Tadeusza Eustachy.

Tadeusz nie czuł się komfortowo w przyciasnej marynarce, ale nie narzekał, tylko chyżo zbiegł ze schodów. Stał przed dziesięcioletnim polonezem. Nabył go na fali entuzjazmu po barcelońskim srebrze piłkarzy. Gdy za sukces gracze kadry olimpijskiej otrzymali po polonezie caro, każdy z obdarowanych natychmiast sprzedał nagrodę i zakupił po wynalazku niemieckiego przemysłu motoryzacyjnego. Ten fakt jakoś Tadeuszowi umknął. Zwyciężyła nostalgia za pierwotną wersją „poldka”. Wyprodukowany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku pierwszy samochód Tadeusza zmarł śmiercią naturalną wiosną dziewięćdziesiątego drugiego. Na dwa miesiące przed igrzyskami. Teraz komisarz patrzył na dogorywającego poloneza caro z politowaniem. Wsiadając do pojazdu z Żerania, Tadeusz podjął decyzję, że następną maszyną, którą kupi, będzie jakiś mercedes. Wynik szybkiej kalkulacji był taki, że mercedes musiałby być dwudziestoletni. W tej kalkulacji Tadeusz musiałby być abstynentem. Po korekcie wyszło, że będzie go stać na merca wyprodukowanego w latach siedemdziesiątych. Kalkulację ową komisarz skwitował siarczystą wiązanką. Na szczęście polonez zapalił. Było powyżej zera, a przy minusowych temperaturach auto nie zawsze chciało ruszać. Gdy Tadeusz podjechał pod noclegownię, mignęła mu Barbara. Z tego, co zauważył, pani Basia miała na sobie nową sukienkę. Kiedy do niego podeszła, jego uwadze nie umknęło, że jej usta były lekko uszminowane, zaś oczy błyszcząły, podkreślone delikatnym makijażem.

– Dzień dobry – powiedział Tadek ciepło.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Jeszcze pan nie złapał bandziora?

– Jeszcze nie. Przyjechałem po pana Kołodzieja.

Chcę go poprosić, by pojechał ze mną na Bałucki Rynek i pokazał mi tę przyjaciółkę pana Henryka.

Kostecki bardzo się starał, by o bezdomnych wyrażać się z szacunkiem.

– Henryk miał przyjaciółkę?

– Tak. Podobno handluje na Bałuckim Rynku.

– Nic mi nie mówił.

– Może nie chciał, aby była pani zazdrosna.

Kolejny uśmiech.

– Kołodziej się porządnie umył. Nie zapaskudzi panu służbowego poloneza.

– Ten jest prywatny.

– Myślałam, że prywatnie jeździ pan taką bryką, jak Don Johnson w *Miami Vice*.

– Bliżej mi do Columbo. Ja też byłem kiedyś porucznikiem.

– Columbo miał żonę. Często o niej wspominał.

– Ja nie mam żony.

Znowu się uśmiechnęła. Kostecki pomyślał, że jeszcze ładniej niż wcześniej. Dalszą rozmowę przerwał Kołodziej, który z bardzo dumną miną zasiadł w polonezie. Po kwadransie zameldowali się na kultowym bałuckim bazarze.

– To ta w niebieskiej sukience i szarej kurtce – powiedział bezdomny.

– Dzięki – odrzekł Tadeusz.

Auto zatrzymało się nieopodal targowiska. Kostecki wyciągnął spod fotela reklamówkę z wyrazami podziękowania.

– O, tygrys! – zawołał radośnie Kołodziej.

Piwo marki Tygrys było sztandarowym produktem łódzkich browarów. Charakteryzowało się dużą zawartością alkoholu i słodkim smakiem. Kostecki za nim nie przepadał, wołał goryczkowego kaltenberga. Nowy ustrój łódzkim piwowarom służył. Poprawiła się jakość piwa, którego za komuny Tadeusz nie śmiał nazywać inaczej niż ścierwem. Co prawda szwankowała promocja, ale może dzięki temu ceny były do zaakceptowania przez mieszkańców miasta.

Bałucki rynek powstał w połowie dziewiętnastego wieku. Szybko stał się centrum gospodarczym Bałut, które formalnie dopiero w czasach pierwszej wojny włączono w granice Łodzi. Ze względu na specyfikę tej części miasta, oprócz chleba, mięsa i warzyw można było tu kupić broń oraz to, co dzięki tej broni udawało się zdobyć: złoto, dolary, biżuterię i inne artefakty. Na terenie targowiska lub w sąsiednich bramach można było kupić lewe dokumenty. Tymi handlowała złodziejska elita Bałut. Bandycki drobiazg próbował opchnąć mniej cenne rzeczy. Ci usytuowani najniżej w hierarchii sprzedawali krany i inną armaturę. Pozyaskiwali ją od tych, którzy wyrwali ją w szkolnych lub urzędowych łazienkach. Niektórzy wyciągali ją nawet

z socjalnych mieszkań, które otrzymywali do dyspozycji od miasta. Na wydzielonej części targowiska handlowali ci, których życie kolebało się po koleinach. Latem nie można było tu wytrzymać, a przynajmniej Kostecki na pewno by nie wytrzymał. Na starych gazetach bezdomni i inni pariasi nowej rzeczywistości wystawiali to, co udało im się znaleźć na śmietnikach. Kapitaliści Ariowie wyrzucali zbędne dla nich rzeczy, które pariasi traktowali jak dary Brahmy: zużyte ubrania, stare zabawki, popsute magnetowidy, walkmany i inne cuda, niedostępne dla tych, którym karma nakazała egzystencję w kalkutopodobnym smrodzie. Te i podobne cudenka pariasi zanosili na targowisko. Oprócz owych cudeniak sprzedawano tu między innymi: stare suszarki, tace, kubki, noże, widelce, makatki, wieszaki z Gorlic, lodówki z ZSRR, breloczki, stare kalendarze z roznegliżowanymi paniami, pocztówki trójwymiarowe, pocztówki normalne, kufle z wrocławskiego fajansu. O drugie życie rywalizowały plakaty Abby, płyty Drupiego, kasety z jarocińskimi hitami sprzed dwóch dekad, plakietki z nazwami nieistniejących zespołów i tym podobne skarby. Przy jednym ze stanowisk stała kobieta, którą koneser tygrysa uważał za przyjaciółkę Henryka Krotoszyńskiego. Miała na sobie niebieską sukienkę i solidny szary bezrękawnik.

- Dzień dobry – przywitał się Kostecki.
- W czym mogę służyć?
- Jestem z policji.

Ledwie Kostecki wypowiedział te słowa, kobieta chwyciła go za ramię i gniewnie wyszeptała:

– Panie, ochujałeś? Ty sobie pójdziesz, a mnie tu za-
jebią!

Odeszli kilka metrów. Kobieta na moment wróciła do swojego miejsca. Poprosiła sąsiadkę, by w jej imieniu sprzedała „abby”, sama zaś wróciła do Tadeusza, niosąc album Niemena, który król polskiego bigbitu nagrał z SBB, cesarzami polskiego rocka.

– Powiedziałaś jej, że trafił się koneser i chce obejrzeć *NOL Breakoutu*. Lubi pan rocka?

– Lubię.

– Ja uwielbiam. Szczególnie te stare kapele. Kiedyś to grali... Takie SBB to by na Zachodzie wywaliło Pink Floydów do kibla. Babcia klozetowa by słuchała. Taki Niemen? Mój Boże, to jest artysta! Taki album *Enigmatic*. Cholera, żeby nagrać taki *Bema pamięci żałobny rapsod*, to trzeba być nie artystą, tylko geniuszem. Ale jak być geniuszem w Polsce? Przecież tu, w tym syfie, im ktoś jest głupszy, tym go naród ma za wybitniejszego artychę. Weźmy takie disco polo. Boże, jaki to chłam, jakie zero. Gorzej, mniej niż zero.

– Fabryka małp – wciął jej się w zdanie Tadek.

Zaśmiała się głośno.

– Ho, ho, widzę, że z pana prawdziwy Maigret. Wracając do materii, to powiem tak: dobrze, że Rysiu nie doczekał tych czasów. Wie pan, że poznałam Riedla?

– Tego z Dżemu?

– A słyszał pan o innym Ryszardzie Riedlu? Poznałam go na jednym z detoksów. Tyle że mnie udało się wyjść z tego gówna, a jemu nie. Zresztą powiem panu szczerze. Ja chciałam z tego wyjść, on nie chciał. Z tego obecnego gówna też wyjdę. Bo chcę.

Przez chwilę szli w milczeniu. Gdy targowisko zniknęło im z oczu, powiedziała:

– Teraz możemy pogadać. O co chodzi? Chyba niczego nie zbroiłam.

– Chodzi o Henryka Krotoszyńskiego.

Twarz kobiety stężała.

– Wierzy pan w Boga?

– Nie.

– A ja wierzę. Czytam *Biblię*. W *Starym Testamencie* jest postać Hioba. On ciągle dostaje w dupę od losu. Im bardziej go życie kopie, tym on bardziej wierzy. Ja też tak mam. Chciałam ochrzcić dziecko, to wie pan, co mi powiedział taki czarnuch jeden?

– Znam tylko jednego księdza. W *Caritasie* robi.

– Może jacyś dobrzy są. Pewnie są. Ale ja jakoś zawsze trafiam na skurwysynów. Ten, co nie chciał mi ochrzcić dziecka, to powiedział, że jak nie mam ślubu kościelnego, to on mi dziecka nie ochrzci. A jak ja miałam wziąć ślub, skoro ten mój, pozał się Boże, partner i ojciec dziecka zaczął się na śmierć? Wie pan, nie miałam szczęścia do chłopów. A jak się już pojawił jeden porządny, to umarł. Bardzo proszę, niech pan nie mówi, że Heniu przed śmiercią coś zmalował.

– Jego ktoś zabił.

Kobieta stanęła niczym ciekawska żona Lota.

– Mój Boże. Naprawdę?

– Tak. To w tej sprawie przychodzę. Chciałbym o nim porozmawiać. Znała go pani.

Doszli do kamienicy, w której mieszkała kobieta. Obiekt przypominał plan filmowy dzieła o zagładzie ludzkości. Połowa okien nie miała szyb. Gdzieś tam blasku dodawały brudnożółte kawałki dykty. Inne okna zionęły oczodołami przerażającej pustki. Środkiem bramy płynęła powoli jakaś szara maź. Na podwórku obraz zagłady wyglądał jeszcze tragiczniej. Wokół śmietnika wałyły się odpadki. Pod murem leżał wybebeszony siennik. Na sienniku spoczywał jakiś człowiek, a lekki mróz ściał na jego łachmanach rzygowiny. Wokół komórek pałętały się resztki przedpotopowych machin, stare garnki, puste butelki i inne przedmioty, czy też właściwie części niewiadomego pochodzenia przedmiotów. Było jeszcze wcześniej, toteż zawodowi bramni stacze odsypiali denaturatowe biesiady. Kobieta otworzyła drzwi mieszkania potężnym kluczem. Odrzwia były solidne.

– Te drzwi to Heniek zamontował. Żaden lump się nie wedrze.

W mieszkaniu było przytulnie. W jednym pokoju stało zasłane łóżko, w kącie za parawanem stał nocnik. Podobnie jak w całej kamienicy, nie było tu kanalizacji. Była za to koza, czyli piec. Jej zaletą było to, że szybko

się nagrzewała. Wadą było to, że szybko stygła. Kostecki po chwili poczuł moc zalety. W mieszkanku zrobiło się ciepło. Przed Tadekiem stanął kubek z herbatą.

– Na razie jest prąd. Ale skurwysyny ceny ciągle podnoszą – rzekła gospodyni.

Tadeusz łyknął napitku. Kobieta zaś kontynuowała refleksje.

– Skurwysyny. Czerwone skurwysyny. Dorwały się znowu do złobu. Ale czarnych złodziei nie ruszą. Bo złodziej złodzieja nie ruszy. Bandyci. Oni, te czerwone kurwy i te chuje z innych partii. Różne Wałęsy, Mazowieckie, Kaczyńskie. Jeden, kurwa, gang, a nad nimi *capo di tutti capi*, czyli klechy. Był w Łodzi taki ksiądz, Miecznikowski się nazywał. On za komuny pomagał Solidarności. Kazania głosił. Pomoc z Zachodu rozdawał. Za komuny to go każdy z tych farbowanych lisów po plecach klepał. A jak farbowane lisy dorwały się do koryta, to o księdzu Miecznikowskim zapomniały. On chciał taki ośrodek pomocy zorganizować. Pomocy dla tych, którym transformacja zniszczyła życie. Nikt mu, kurwa, nie pomógł. Wszyscy poszli w posły, senatorzy, prezydenty. Kurwa, złodzieje pierdolone. Niech mi pan wierzy, wołę tych tu złodziei od farbowanych obrońców demokracji, wolności i chuj wie, czego jeszcze.

Kostecki pozwolił się kobiecie wygadać. Gdy ochłoneła, zapytał:

– Jak się pani nazywa?

– Bożena Miler, ale mówią na mnie Zośka. Lat czterdzieści trzy. Wykształcenie wyższe. Nauczycielką byłam. Ktoś mnie zakapował do dyrektorki, że jestem nosicielką wirusa HIV. No i mnie zwolniła, komunistyczna kurwa. Za komuny była czerwiejsza od koszulek Widzewa. Pamiętam, jak kiedyś w dzienniku wpisałam, w miejscach, gdzie się wpisuje tematy, zwrot „święta Bożego Narodzenia”. Ta kurwa pozaklejała te strony i na nowych napisała „święta zimowe”. To był jakiś osiemdziesiąty ósmy rok! Komuna się chwiała, a ona bała się, że ktoś jej coś zarzuci! W jakiej partii teraz jest? W ZChN. A jakże. Od czerwonej kurwy do katolickiej prostytutki. To ja już wolę być tu, w tej biedzie, ale z prostym kręgosłupem.

Kostecki słuchał jednym uchem. Nie chciał jednak kobiecie przerywać. Wiedział, że uzyska więcej informacji, jak da Bożenie wszystko z siebie wyrzucić. A ona mówiła:

– Gdy mnie wylali z pracy, to w tym samym miesiącu naszą kamienicę na Kilińskiego przejął reprezentant spadkobierców właścicieli. To była żydowska kamienica. Znaleźli jakiegoś potomka w Izraelu. On sprzedał prawa własności jakiejś firmie. Firma podniosła czynsz o sto procent. Za kilka miesięcy znowu opłaty zdrożały. Musieliśmy się przenieść. Ojciec nie wytrzymał, miał wylew. Długo nie żył. Na matkę tak to wszystko wpłynęło, że też umarła. Od dawna chorowała na serce. Tymczasem okazało się, że jestem w ciąży. Ojciec dziecka ćpał. To on mnie zaraził. Dziecko zaraziliśmy

już wspólnie. Wylądowałam w domu samotnej matki. Dziecko urodziło się z AIDS. Żyło rok. Od kilku lat mieszkam tutaj. Cztery lata temu poznałam Heńka. Dobrym był człowiekiem. Nie mogę się pogodzić z tym, że go nie ma.

Na ten moment opowieści o podłym życiu czekał komisarz.

– Czy pan Henryk korzystał z pomocy pogotowia? Albo czy wzywał pogotowie do kogoś?

– Nie przypominam sobie. On był raczej dobrego zdrowia.

– A może wspomniał czasem o pogotowiu? Może mówił o kimś, kto pracował lub pracuje w pogotowiu?

– Nie kojarzę. Naprawdę czegoś takiego nie pamiętam. On mało o sobie mówił.

– Ale coś mówił.

– Tak. Mówił, że był jakimś biznesmenem, że ktoś go oszukał. Ja go nie dopytywałam. Każdy ma swój krzyż, ale nie każdy chce o tym krzyżu mówić.

Za oknem pojawiły się tumany żółto-czarnego dymu. Przez szpary w oknie przedostawał się smród.

– Kurwa, żule pierdolone. Śmieciami palą! Jakąś gumę wczoraj znaleźli. Tu nikt nie pali węglem, nawet porąbać drewna im się nie chce! Henryk, jak był, to pomagał mi taszczyć i rąbać drewno. Tutaj w okolicy jest pełno zrujnowanych kamienic. Walają się resztki drewna. Stare drzwi dębowe palą się jak złoto. Niektórych to aż żal palić, piękna snycerska robota. No, ale jak miastu

nie zależy na zabytkach... Zresztą na czym zależy władzom miasta? Chyba tylko na korycie. Tę siekiere, co rąbał nią Henryk, mam tu pod łóżkiem. Jak jaka menda wejdzie, to zapierdolę centralnie w łeb.

– Ktoś z sąsiadów Henrykowi groził? Albo może ktoś inny?

– Nie. Nie przypominam sobie.

– Rozumiem, że spędzaliście razem dużo czasu.

– Tak. Szczególnie zimą i jesienią Henryk często tu bywał. Latem nie. Tu latem tak śmierdzi, że ja też staram się tu nie siedzieć. Jak ja szłam do pracy, bo ja pracuję na czarno, to on szedł grzebać w śmietnikach. Chyba że szedł do biblioteki. Z tymi śmietnikami to trochę przesadziłam. On lubił chodzić na to osiedle domków za Julianowską. Tam bogaci ludzie mieszkają, często wystawiają różne niepotrzebne rzeczy. Zresztą on na tych domkach miał też taką fajną fuchę, bo czasem pomagał jednemu facetowi, co ma firmę, która zajmuje się sprzątaniem ludziom w domach. To znaczy wywożą złom, biorą książki i inne rzeczy. Szef tej firmy to Heńka lubił brać do pomocy, bo Heniu był solidny, znał się na złomie i na różnych starociach. Czasem jakieś płyty mi przynosił i razem słuchaliśmy. Ten facet odpalał Heniowi niezły grosz. Nieraz nawet ze sto złotych Heniek dostawał. Wtedy szliśmy do chińczyka na porządny obiad. Jak tej fuchy nie miał, to też często chodził na tamto osiedle. Henryk zawsze był schludnie ubrany, jak na bezdomnego, rzecz jasna, więc go stamtąd nie gonili. Niektórzy

to wręcz czekali z wystawieniem starych rur, żeby je dać Heńkowi.

– Rur?

– Na złom. Heniu mówił, że ceny złomu żelaznego i kolorowego zależą od koniunktury na rynku chińskim. Wie pan, nigdy nie miałam tak porządnego chłopca. Jak go zabili? Ma pan podejrzanych? Może pan coś powiedzieć?

– Nie mogę.

– Rozumiem.

– Będę się zbierał. Czy mogę gdzieś... – Kostecki zawiesił głos.

– Marne szanse. – Była nauczycielka zrozumiała w mig. – Nie radzę korzystać z podwórkowego kibla. Tego nawet kibelem nie można nazwać. Ani bardachą, ani nawet klopem. Ja korzystam z nocnika. Potem przelewam do butelki i wyrzucam. Albo wrzucam do torby foliowej. Każdy tak robi. Z wyjątkiem tych, którzy załatwiają się pod siebie lub na podłodze w swoich norach. Latem tu nie można wytrzymać. Szczury, karaluchy, pluskwy. Sanepid tego nie widzi. Moja koleżanka z dawnej pracy, nauczycielka, opowiadała mi kiedyś, że jak ułożyła plan dla nauczycieli, to przyszła komisja z sanepidu i jakiś ważniak powiedział, że ten plan trzeba zmienić, bo jest niehigieniczny. Plan powinien być taki, by jednego dnia nauczyciel szedł do pracy rano, a drugiego później, w południe. Wtedy będzie higienicznie. Wie pan, tak sobie czasem myślę, że my, Polacy, to

niezależnie od systemu mamy przekichane. Bo jesteśmy głupi. Tak po prostu. Tutaj sanepid nie bywa. I dlatego stąd uciekam, kiedy się robi ciepło. W lasach koło Grotnik mam taki szałas, ale porządny. Tam spędzam wakacje. Sprzątam okoliczne knajpy, bo latem mają tam sporo letników. Za to dostaję jedzenie, czyli to, czego letnicy nie zjedzą. Nawet jak chcę, to mogę pić piwo, które zostaje w beczce. Raj. Prawdziwe wakacje. Jak za dawnych czasów, kiedy byłam nauczycielką. Tylko że ja tego piwa nie piję.

Mieszkanka szałasu na moment zamilkła. Kostecki stał jak wmurowany. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz rozmawiał z kimś, kto nie pije piwa. Szczególnie darmowego.

– Bo jak wyszłam z dragów, to postanowiłam, że nie będę ćpać, pić i palić. Wytrzymałam i wytrzymuję dalej. W tej pracy na czarno to mam czterysta złotych, czasem czterysta pięćdziesiąt. Na targowisku dorabiam setkę. W skali miesiąca. Mało. Ale może los się odwróci. Mel-dunek mam. Może nadejdą czasy, że będzie można dostać pracę. Dostanę jaki tysiąc złotych... Na legalu. Jak zachoruję, to pójdę na L4. Wakacje spędzę w namiocie, a nie w szałasie. Może jaki porządny nagrobek Justysi sprawię? Ona na Kurczakach leży.

– Pójdę już. Ten album SBB chciałem kupić.

– Dycha, i jest pana, komisarzu.

– Okej.

Kostecki wyjął z portfela banknot stu złotych.

– Nie będę miała wydać.

– Dychę jest warta sama płyta. Autograf Apostolisa – trzy dychy, Piotrowskiego – tyle samo. Podpis mistrza Skrzeka jest wart więcej. Ale niech wyjdzie ze mnie stary milicjant.

– Dziękuję. Żałuję, że nie wzięłam autografu od Ryska Riedla.

– Teraz już nikomu nic nie podpisze.

– Takie życie. Do widzenia.

– Do widzenia.

Po południu komisarz zameldował się w domu. Po drodze kupił dwa zestawy kurczaka w pięciu smakach. W Łodzi furorę robiły wietnamskie bary z tanim żarciem. Pożywny obiad można było zjeść w cenie niższej niż dziesięć złotych. Choć zajęci analizą planów nauczycielskich pracownicy sanepidu omijali te garkuchnie szerokim łukiem, to cieszyły się one wśród łodzian ogromną popularnością.

– Obiad! – zawołał radośnie komisarz, gdy wparował do mieszkania.

Eustachy był w bojowym nastoju. Siedział przed komputerem i czytał jakiś tekst.

– No tak, teraz wszystko jest jasne.

– Co jest jasne? – zapytał Tadek.

– To, po co Żydzi wywołali wojnę.

– W Palestynie?

– Drugą!

– Drugą? Żydzi?

– A to takie dziwne?

– Trochę dziwne.

– Wojnę Żydzi wywołali po to, by Niemcy mogli zabić część Żydów. Zaś ta druga część chciała obwinić o Holokaust Polaków. A więc wszystko jasne. Nieźle to sobie wykombinowali. Jak to oni.

Kostecki nie skomentował nowych teorii dotyczących wybuchu wojny. Był przyzwyczajony. Eustachego traktował jak dziecko, którym trzeba się opiekować i tolerować jego fale „młodzieńczego” buntu.

– Zobacz, co mam! – Kostecki podszedł do komputera z plastikowym opakowaniem zawierającym ciepłe danie.

– Zabieraj to ścierwo! – wrzasnął starsuszek – Nie będę już jadł żadnej chińszczyzny!

– Ale to Wietnamczyk gotuje.

– Tym gorzej. Jakiś były komuch z Wietkongu. Przyjechał do Polski i za żydowskie szekle zabiera Polakom pracę. Kup mi mielonego mięsa. Najlepiej wołowo-wieprzowego. Chcę mieć pewność, że zginęło dwoje zwierząt. Nienawidzę tych lewackich wegetariańskich szaleńców, co za żydowskie srebrniki opowiadają głupoty. Ludzie przestają kupować polską wieprzowinę. Rolnicy zbankrutują, a kto przejmie ziemię?

Kostecki nie czekał na odpowiedź. Pytanie było retoryczne. Pobiegł do mięsnego i poprosił o mielone mięso dla przyszywanego wuja.

– Nie mam wydać – odpowiedziała ekspedientka.

Kostecki ze smutkiem popatrzył na wizerunek króla Zygmunta Starego. Rad nierad musiał pójść do konkurencji. Konkurencja też nie miała wydać. Rozmienić nie byli w stanie także sklepikarze w nabiałowym, ci w zwyczajnym spożywczym, a nawet obsługujący stację benzynową. W sklepie dla koneserów wegetariańskich dań był gotów kupić kilka porcji kotletów sojowych. Nie pomogło. Banknot dwustuzłotowy udało się rozmienić dopiero w barze z chińskim żarciem. Gdy zdyszany Tadeusz wrócił z mięsem mielonym oraz porcją kurczaka w pięciu smakach, był zimny jak serce bohatera *Opowieści wigilijnej*. Pokrzepiony porcją polskiego mięsa Eustachy zaczął kontynuować misję nawracania Tadeusza.

– Mówisz, że tylko Wietnamce mieli rozmienić? No widzisz, to potwierdza moją teorię, że żółtki to tylko marionetki w żydowskich rękach. Polak to ma honor i nie będzie zbierał drobnych, żeby komuś rozmienić. A Żydek?

Kostecki przestał słuchać. Poszedł do swojego pokoju i włączył adapter. Z głośników popłynęły dźwięki muzyki.

poleca

